Rocznik III. Kraków, 1 grudnia 1900. Numer 4.

SKARBNICA

miesięczne pismo ludowe
popularno-naukowe i powieściowe.

Wydawca i redaktor:
Ks. Marceli Dziurzyński.

Warunki przedpłaty i adres wydawnictwa:

„Skarbnica" kosztuje w **Austryi** na rok: **3** korony (**1** złr. **50** ct.). **półrocznie: 1** kor. **50** hal. (**75** ct.). **W Niemczech** na rok: **3** marki. — **W Ameryce** rocznie: **1** dolar.

Adres: Red. **„Skarbnicy" w Krakowie, ul. Basztowa L. 4.**

NAKŁADEM WYDAWCY.

CZCIONKAMI DRUKARNI ZWIĄZKOWEJ W KRAKOWIE
pod zarządem A. Szyjewskiego.
1900.

Od Wydawnictwa.

Niniejszym numerem zamykamy wydawnictwo **„Skarbnicy“,** gdyż liczba prenumeratorów jest stosunkowo zbyt małą, aby można dochodami z prenumeraty pokryć koszta wydawnictwa. A więc **„Skarbnica“** nadal wychodzić już nie będzie.

Kto na początku tego roku zapłacił jako prenumeratę na **„Skarbnicę“** 5 kor. — temu pozostaje u nas 1 korona.

Kto zaś we wrześniu lub później złożył jako prenumeratę 3 korony na nowy (3-ci) rocznik, temu też pozostaje u nas 1 korona, gdyż za te 4 numera **„Skarbnicy“** od września liczymy 1 koronę i za **Książeczkę do nabożeństwa** 1 koronę (razem 2 korony).

Tę jednę koronę możemy Szan. Czytelnikom albo zwrócić, albo zaliczyć ją jako część prenumeraty na **„Nowy Dzwonek“,** tym, którzy chcą prenumerować **„Nowy Dzwonek“,** a który kosztuje rocznie **5** koron (5 marek). Tacy Czytelnicy mają dopłacić **4** korony, a otrzymywać będą od Nowego Roku w miejsce **„Skarbnicy“: „Nowy Dzwonek“.**

Rok III. Kraków, 1 grudnia 1900. Numer 4.

SKARBNICA

PISMO LUDOWE

wychodzi **raz** w miesiącu — dnia 1.

Wydawca i redaktor: ***Ks. Marceli Dziurzyński.***

Zamknięcie wydawnictwa!

Niniejszym numerem zamykamy wydawnictwo *Skarbnicy* czyli, że donosimy, że *Skarbnica* w roku przyszłym **wychodzić nie będzie,** gdyż mało jest prenumeratorów.

W miejsce *Skarbnicy* polecamy: **„Nowy Dzwonek“.**

KOSTUŚ.

Opowiadanie z niedawnej przeszłości.

(Napisał Silef.)

Było to w owe czasy, gdy Galicyę przecinała jedna linia kolejowa, to jest kolej Karola Ludwika — dziś upaństwowiona. Nie dziw więc, że chcąc się dostać do najbliższej stacyi kolejowej z okolicy, daleko na północy lub na południu od kolei położonej, potrzeba było nieraz kilka dni jechać wozem. To-samo czekało podróżnych, wracających z kolei do domu.

Ta jedyna kolej w kraju miała wtedy swoje stacye uprzywilejowane, na których tylko można było dostać wózki, omnibusy, powozy, jednem słowem rozmaitego rodzaju wehikuły, jakie już dzisiaj należą do lepszej, dawno minionej przeszłości. Taką stacyą była Bochnia.

Tu stały wozy pocztowe, zaprzężone w sześć koni, nazywane wówczas „alwagenami“ *), ciężary olbrzymie; tu były budki żydowskie i furmańskie wozy chłopskie; tu znalazły się i ciężkie powozy. Stąd — zwłaszcza w porze letniej — toczyły się długim szeregiem te najrozmaitsze pojazdy, a na gościńcu rządowym — na cesarce — panował ruch, jakiego dziś niema nawet w czasie bardzo ożywionych jarmarków.

*) Nazwa z języka niemieckiego: Eilwagen, znaczy wóz pospieszny.

Karczmy przydrożne pełne były gwaru i życia. Na placach przed niemi zatrzymały się „na popas“ setki fur, które wówczas spełniały usługi, jakie dzisiaj oddaje dosyć gęsta sieć kolei. Ileż to — podróżując w ten sposób — można było poznać ludzi, ilu ciekawych bałagułów, ilu żydków sprytnych, którzy umieli pozyskać sobie zaufanie i przychylność pasażerów i zarazem dobrze ich złupić za oddane im usługi. Dawne to już czasy, a dzisiejsze pokolenie nie potrafi nawet zrozumieć tych trudów i niewygód, jakie trzeba było ponieść w ciągu kilku dni, potrzebnych do przebycia drogi, którą dziś, wygodnie siedząc w wagonie, w kilka godzin się przebywa.

Z Bochni więc odwozili furmani podróżnych do pobliskich miasteczek. Każde miasteczko miało znowu swoich furmanów. Bocheńscy furmani oddawali swych pasażerów zaufanym kolegom z miasteczek, a ci znowu stręczyli im gości wracających do kolei. Była to więc niejako wzajemna pomoc koleżeńska.

Byli furmani, którzy tylko do pewnych miejscowości dostawiali podróżnych, a stąd wracali do Bochni po nowych. Ich słabe wozy i ciężkie konie nie pozwalały im zapuszczać się w dalsze górzyste okolice. Inni jeździli bliżej i dalej, jak im się trafiło.

Furmanka była ich rzemiosłem, które wykonywali przez lato, gdy był wielki ruch przejezdnych, zwłaszcza do miejsc kąpielowych: do Krynicy i Szczawnicy. O Zakopanem i innych stacyach klimatycznych mało kto wówczas wiedział, a tem mniej do nich zaglądał.

Jednym z typowych furmanów w miasteczku S..., o kilka mil od Bochni odległem, był w tym czasie Kostuś. Wyróżniał się z pośród licznej rzeszy swoich kolegów po bacie, długą siwą brodą i włosami kędzierzawymi, których bujne sploty, przyprószone już siwizną, wychodziły z pod szerokich kres miękkiego kapelusza. Gdy zdjął kapelusz, świecił poważną łysiną, która jednak jego wątłej budowie dodawała uroku i dziwnie harmonizowała z wyrazem twarzy.

Z zawodu był powroźnikiem, ale trudnił się także furmanką, gdyż powroźnictwo szło mu nienajlepiej. Pokochał nawet zczasem ten drugi zawód i czuł się szczęśliwym, gdy mógł siedzieć na swym lekkim, o drewnianych osiach wózku, na siedzeniu z drzewa bukowego, słomą wyplecionem, na które kładł okrągłą poduszkę, bo jako cierpiący na nerki, musiał mieć miękkie siedzenie.

Kostuś przez długie lata jeździł swą kobyłką, zgrabną — nie wielką, ale zdrową i z dobremi nogami. Lekki wózek, siwa

kobyłka, ubrana w chomątko, ozdobione na wierzchu włosami końskimi, na czerwono pomalowanymi i lejce sznurowe, jakże się w owe czasy podobały mnie i moim braciom, gdyśmy byli jeszcze małymi chłopcami!... Jakżeśmy się cieszyli, ujrzawszy siwą kobyłkę, zwiastującą, że już nadeszła wiosna, że Kostuś będzie często do nas przyjeżdżał, będzie nam gości przywoził — to właściwie nie nam, ale ojcu naszemu, który miał oberżę w miasteczku L. Ojciec i Kostuś znali się oddawna; byli podobno nawet kolegami szkolnymi i z jednego pochodzili miasta.

Zjawiał się Kostuś do nas nie jak do oberży, ale jak do swego domu, przyjmowany serdecznie przez ojca, a witany z całą dziecięcą radością przez nas małych. Siedząc, wspierał się na łasce, swojej nieodstępnej towarzyszce w domu i podróży, która była jota w jotę taka sama, jaką widzieliśmy na obrazku w biblii u patryarchy Jakóba, gdy szedł na służbę do Labana. Myśmy ją nazywali laską biblijną. Cała zaś powierzchowność Kostusia z długą pokręconą brodą i łysiną przypominała nam proroka Elijasza.

Gdy już Kostuś wypoczął i posilił się, wtedy my mali siadaliśmy na niskich stołeczkach około niego, a on, wsparty na swojej lasce, opowiadał nam prześliczne historye: to o zaklętej królewnie, to o szklanej górze, to o chłopczyku, nazwanym Parszywką, który dostał królewnę za żonę... i wiele, wiele innych.... Kostuś tak pięknie i zajmująco opowiadał, że nietylko w nas, ale i w starszych miał gorliwych słuchaczy. Ile to wieczorów przesiedzieliśmy zasłuchani w tych opowieściach, któremi rozbudzał naszą młodą wyobraźnię!

W nagrodę za to zbieraliśmy dla niego kamienie, które on ze sobą zabierał. W naszej okolicy były bardzo ładne okazy. Takich to pięknych kamieni zawsze kilka kładliśmy na wóz Kostusiowi, ile razy zabierał się do powrotu. Często także, gdyśmy się dowiedzieli, że Kostuś ma przyjechać, już naprzód wyszukiwaliśmy piękne, gładkie kamienie, jakie on lubiał, ażeby go dobrze usposobić do opowiadania cudownych historyj, za któremi wówczas przepadaliśmy.

Kostuś przyjeżdżał latem bardzo często i za każdym razem zabierał na swój wózek kilka kamieni, co jego siwej kobyłce nie robiło wielkiej różnicy, gdyż droga z powrotem z miasteczka Ł. prowadziła przeważnie z góry na dół.

Raz zapytał nasz ojciec Kostusia, gdy ten obładowywał wózek kamieniami:

— Powiedzcie mi, Konstanty, co wy właściwie robicie z tymi kamieniami?

— Ot nic! — odrzekł mu — śmiejąc się Kostuś. Ja z tych kamieni wystawię kamienicę dla moich synów, bo musicie wiedzieć, Karolu, że ja do domu przywożę nietylko te, które mi wasze dzieci znoszą, ale zbieram je także i gdzieindziej. Czasem to i na drodze lub na kamieńcu znajdzie się ładny kamyczek, to i temu nie daruję, a moja siwka ma dosyć siły, ażeby go do domu zawiozła.

— Ho! ho! — rzekł na to ojciec — nim wy z tych kamieni wystawicie kamienicę, to chyba pierwej wasi synowie zostaną biskupami.

Na to Kostuś; Co Bóg da, to będzie, a ja tam nieodstąpię od mojego i moje kamyczki zbierać sobie będę dalej, a może Bóg dobry pozwoli mi dokonać mojego przedsięwzięcia. Pomału a ciągle więcej się zrobi, niż nagle i zaraz.

— A i owszem, dopomóż wam Panie Boże, kochany Konstanty.

— A ja wam mówię, Karolu, że dopnę swego.

Po tej rozmowie pożegnał się z ojcem i z nami, zaciął siwą kobyłkę i odjechał w towarzystwie swych kamieni, bo w tym dniu nie miał żadnego gościa do odwiezienia. Myśmy długo stali na drodze i patrzyliśmy za odjeżdżającym Kostusiem, dopóki nam nie zniknął z oczu.

*

* *

Od owej chwili upłynęło lat wiele. Ile przez ten czas zaszło zmian, tego niepodobna krótko odpowiedzieć. Rodzice odumarli nas. Trzeba było opuścić miejsce rodzinne i iść w świat daleki, ażeby znaleść kawałek chleba.

Po latach kilkunastu odwiedziłem moje gniazdo rodzinne. Z domu, gdzie się urodziłem, nie pozostałc ani śladu. Nowa linia kolei, poprowadzona przez te okolice, sprowadziła upadek bardzo wielu oberży, a z niemi i tej, którą mój ojciec posiadał. Gdy oglądałem miejsce, na którem stała, przyszły mi na myśl, w całej żywości barw moje lata dziecięce, przypomniały mi się owe cudowne historye, które nam dzieciom Kostuś opowiadał, a z niemi i owe kamienie, któreśmy nieraz z takim trudem toczyli z pola, ażeby tylko zaskarbić sobie względy Kostusia. O Kostusiu samym słyszałem tylko tyle, że umarł; nic jednak nie wiedziałem o jego ostatnich latach życia, ani też o tem, czy dzieło swoje, nad którem tak gorliwie pracował, przyprowadził do skutku.

Dla zaspokojenia ciekawości wybrałem się niezwłocznie do miasteczka S. Chodząc po ulicach, zapytywałem przechodniów o zmarłego przed kilku latami Kostusia. Jedni coś sobie przypominali, że żył taki obywatel, ale nie umieli nic o tem powiedzieć; inni odpowiadali ze zdziwieniem, że o takiem nazwisku nie słyszeli. Pochodziło to stąd, jak się potem przekonałem, że synowie Kostusia zmienili nazwisko i młodszemu pokoleniu już się ono nie odbijało o uszy.

Szczęściem trafiłem na starego mieszczanina, który znał dobrze nieboszczyka. Od niego to dowiedziałem się, że Kostuś długie jeszcze lata furmanił i kamienie ciągle zwoził.... A jakże się cieszył, kiedy już zebrał tyle materyału, że mógł przystąpić do budowy!...

Mieszczanin - starowina rad widocznie z tego, że znalazł we mnie chętnego słuchacza, nie żałował słów na skreślenie zacnego charakteru Kostusia. Kończąc opowiadanie, rzekł do mnie: Chodź pan ze mną.

Po chwili przyprowadził mnie przed okazały dom murowany i wskazując nań ręką, mówił: To jest ten dom, który wystawił Kostuś w rok przed śmiercią, na miejscu niskiego domku drewnianego.

Więc to jest ten dom — pomyślałem sobie — to dzieło rąk jednego człowieka? Biedny Kostuś! niedługo cieszył się tym pięknym budynkiem, do którego wystawienia całe życie gromadził materyał. Ileż to ludzi przechodzi dziś obojętnie około niego, a przecież ma on swoją historyę. Tu każdy kamień, gdyby mógł mówić. opowiedziałby, skąd pochodzi, ile się z nim Kostuś natrudził, zanim go zdołał włożyć na swój wózek.

Gdy tak stojąc i patrząc, rozmyślałem nad tem, ile to może zdziałać rozumna, wytrwała i niezmordowana praca nawet jednego człowieka, wpadł mi w oczy napis nad drzwiami. Zbliżyłem się i odczytałem te słowa:

„Ten dom stanął mozolną pracą Konstantego:
„Wytrwałości, synowie, uczcie się od niego!“

Ten skromny napis, a zawierający tyle prawdy, rozrzewnił mnie do głębi. Więc poczciwy Kostuś, budując ten dom z kamieni, które własnemi rękami w ciągu długich lat zgromadził, miał myśl głębszą — on chciał dać synom namacalny przykład, co zdziałać może silna wola człowieka! Dotknąłem się ręką zimnego muru i czując podziw i szacunek dla żelaznej pracy Konstantego, mówiłem sam do siebie: Napracowałeś się

dosyć, poczciwy Kostusiu! Spoczywaj spokojnie w ziemi, którą tak bardzo ukochałeś; cześć twojej pamięci, pracowita mrówko!

O Chinach i Chińczykach.

(Dokończenie.)

II.

Niema na ziemi kraju, któryby mógł poszczycić się tyloma nadzwyczaj ludnemi miastami, co Chiny: jest tam 10 miast, liczących po milionie mieszkańców, jedno (Kanton) ma ich przeszło półtora miliona, a około 50 miast liczą po pół miliona ludności, to jest tyle, co Warszawa.

Wszystkie większe miasta chińskie są zbudowane podług jednego planu i są do siebie podobne. Każde składa się z trzech części, jakby trzech miast osobnych, oddzielonych od siebie wysokimi murami i rowami. Jedna część — ponura, cicha, — stanowi dzielnicę tatarską, zamieszkałą przez urzędników cesarskich, jenerałów i żołnierzy. Tam znajduje się główna forteca, koszary, różne gmachy rządowe; za to brak tu zupełny sklepów i wszelkiego ruchu na ulicach.

Druga część — miasto chińskie, przeciwnie, jest jakby jednem wielkiem mrowiskiem, pełnem wszelkiego rodzaju handlów, sklepów, kramów ulicznych, pełnem zgiełku i wrzawy, brudu, kurzu, olbrzymich bogactw i wielkiej nędzy. Jest to prawdziwe miasto handlarzy.

Trzecią część miasta chińskiego stanowi przedmieście, leżące poza murami, — siedziba rzemieślników, wyrobników i wszelkiego rodzaju nędzarzy.

Stolicą państwa chińskiego, a zarazem rezydencyą czyli stałem miejscem pobytu cesarza, jest **Pekin**, położony na północ od rzeki Hoangho, niedaleko od zatoki Peczili. Chińczycy wymawiają jego nazwę Peting lub Betzing, co oznacza „stolicę północną“, w przeciwieństwie do Nankingu — „stolicy południowej“, leżącej nad rzeką Jantsekiangiem.

Pekin jest jednem z najstarszych miast chińskich. Zbudowane ono było na wiele set lat przed Narodzeniem Chrystusa, przechodziło różne koleje, kilka razy było burzone doszczętnie i dopiero 500 lat temu, stało się na nowo stolicą państwa. Z tego czasu pochodzi mur, otaczający dotąd miasto, oraz najstarsze jego budowle. Olbrzymi ten mur Pekinu, wy-

soki na 50 do 60 stóp, naokoło 40 stóp szeroki, ciągnie się dokoła miasta na długości 40 wiorst. Co 100 sążni znajdują się na nim wysokie czworograniaste wieżyce, a na czterech rogach wznoszą się cztery wysokie baszty ze strzelnicami. Do miasta prowadzi 16 bram.

Jak wszystkie miasta chińskie, Pekin składa się — nie licząc przedmieścia, — z dwóch głównych części: z miasta tatarskiego, czyli wewnętrznego i chińskiego — zewnętrznego. W samym środku dzielnicy tatarskiej leży pałac cesarski, czyli „miasto zakazane“, otoczone osobnym murem i niedostępne dla zwykłych ludzi.

Ulice Pekinu są przeważnie proste, jedne szerokie, inne wąskie, a wszystkie pełne kurzu, brudu, błota i gromad śmieci, które Chinczycy mają zwyczaj wyrzucać wprost na ulicę. Domy są wogóle niskie, bez piąter, wszystkie do siebie podobne, budowane z palonej cegły lub lepione z gliny, a kryte najczęściej dachówką; nawet mieszkania ludzi bogatych nie odznaczają sie wielkim przepychem: są one tylko otoczone zewnątrz osobnym murem, chroniącym je przed okiem ciekawego przechodnia. Jedyną ozdobą miasta są wysokie wieże świątyń czyli pagód, naprzykład świątynie Słońca, Ziemi, Księżyca, świątynia Nieba i Rolnictwa; dalej pałace wystawione tu i owdzie przez Europejczyków, kilka kościołów chrześcijańskich, oraz wysokie łuki, niby bramy tryumfalne, w których lubują się Chińczycy.

Kto chce poznać prawdziwe życie stolicy Chin, winien udać się na jedną z ulic chińskiej dzielnicy, gdzie roją się tłumy ludzi, gdzie tysiące sklepów i kramów nęcą przechodnia wielkimi szyldami, zawieszonymi na wysokich słupach przed drzwiami i ruch. Gwar panuje tutaj, jak w ulu. Każdy krzyczy, gada, spieszy, popycha. Tutaj poważny kupiec zachwala w sklepie swoje towary; tam rozłożył się na brzegu ulicy przekupień z jarzynami czy owocami. Gdzieindziej przy stole siedzi uczony adwokat, okulary na nos założył i radzi coś otaczającym go interesantom. Tam znowu cyrulik uliczny posadził jakiegoś prawowiernego Chińczyka i goli mu czuprynę, nie gorzej, niż nasze żydki felczery, golące na dyszlu ludzi po jarmarkach. Środkiem ulicy kroczy uśmiechnięta postać jakiegoś draba chińskiego, dźwigającego na plecach długi drąg, do którego ogonami przywiązane są małe szare zwierzątka: to sprzedawca szczurów, stanowiących na równi z psami i kotami ulubioną potrawę zamożniejszych Chińczyków.... Jest to widocznie jeden z tych zręcznych łowców, jacy w Chinach zgłaszają się często do domów, płacą właścicielowi pewną sumę pieniędzy

za prawo polowania na szczury w jego domu — i wyławiają je do ostatniego, sprzedając następnie z dużym zarobkiem tę szczególną zwierzynę.

Lecz oto słychać krzyki i nawoływania — z za rogu ulicy wysuwa się długa karawana wielbłądów, objuczonych herbatą, prowadzonych przez płaskonosych mongołów, z szeroką twarzą i głupowatym uśmiechem.... Za niemi ciągnie kilka taczek i wózków jednokonnych, dwukołowych, nakrytych rodzajem namiotu: to zwykłe w Chinach dorożki. Tylko wyżsi Mandaryni mają prawo być noszonymi w lektykach — pudłach, dźwiganych przez tragarzy. Oto jeden z takich: czterech ludzi niosą jego lektykę przyspieszonym krokiem; za nimi idzie sześciu służących w liberyi brudnej i poplamionej. Mandaryn leży, rozciągnięty w pudle poważnie, jak przystało na ważną osobę. W ogromnych okularach, pilnie czyta jakieś papiery: to Radca Stanu, udający się na radę i przygotowujący swój raport. Patrzy pogardliwie z góry na tłum przekupniów i obdartusów, rozstępujących się z szacunkiem przed jego ekscelencyą.

W jednej z najludniejszych części dzielnicy chińskiej, około tak zwanego „Mostu łez“, znajduje się ława, na której kat miejski, ze swymi pomocnikami ścina głowy skazanym na śmierć. Krew broczy ziemię, a ciekawa gawiedź przygląda się temu ohydnemu widokowi.

Prócz pałacu cesarskiego, wyłożonego żółtą porcelaną, prawdziwą ozdobę Pekinu stanowią świątynie „Nieba“ i „Rolnictwa“. Obydwa te gmachy stoją na wysokich wzniesieniach, pośród odwiecznych drzew. Świątynia „Nieba“ jest okrągłą budowlą, o dwóch, jeden nad drugim piętrzących się dachach. Do świątyni prowadzą przepyszne marmurowe schody, a ściany jej wyłożone są różnobarwnemi płytami fajansu i rzeźbami, odbijającemi prześlicznie na ciemno-zielonem tle otaczających drzew.

Świątynia „Rolnictwa“ jest wyższą od poprzedniej, posiada trzy leżące nad sobą dachy — jak to jest we zwyczaju w chińskich budowlach; dokoła ozdobioną jest szeregami rzeźbionych słupów, ganków i schodów. W pobliżu niej znajduje się owo słynne pole, na którem odbywa się „uroczystość pierwszej orki“, — o czem pisaliśmy już dawniej.

Z wielu innych miast chińskich wymienimy kilka najważniejszych.

Niedaleko Pekinu, nad morzem, leży port **Tientsin** (1 milion mieszkańców), — główny skład herbaty, wyprawianej stąd przez Majmaczyn i Kjachtę do Rosyi. — W południowej części

Chin, — prócz wspomnianego **Kantonu** (1 milion 600 tysięcy mieszkańców), stanowiącego główny port, przez który wywożą się towary chińskie za granicę, — znajduje się jeszcze: **Nankin** słynny z tkanin bawełnianych (stąd nawet pewne rodzaje tkanin bawełnianych u nas nazywają się nankinowemi); **Szanghaj** — port, przez który przywożą się towary obce do Chin; **Chańkou** — słynny z handlu herbatą; **Suczeu**, handlujący jedwabiem i inne.

Kończąc ten artykuł, wypada jeszcze zaznaczyć, jaką religię wyznają Chińczycy. Otóż Chińczycy są poganami i czczą wiele bożków.

Wierzą jednak w nieśmiertelność duszy i w życie pozagrobowe. Chrześcijaństwo z trudnością się u nich przyjmuje, bo przywiązanie do wiary przodków, jest u Chińczyków nadzwyczaj wielkie.

Błog. Franciszek Klet

ze Zgrom. XX. Misyonarzy,

umęczony za wiarę świętą w Chinach 1820 roku.

Błog. Franciszek Klet urodził się 10 sierpnia 1748 roku w Grenoble we Francyi. Bardzo pobożny już w pierwszych latach życia, a przytem niepospolicie zdolny, czując powołanie do wyłącznej służby Bożej, wstąpił 1769 r. do XX. Misyonarzy w Lyonie, a w marcu 1771 r. złożył śluby św. W 1773 r. przyjął święcenia kapłańskie, a w kilka miesięcy potem wysłano go do Annecy na profesora teologii moralnej w biskupiem seminaryum, gdzie zasłynął z głębokiej nauki, a zwłaszcza świętem życiem. W trzynaście lat potem został dyrektorem seminaryum XX. Misyonarzy w Paryżu, gdzie wychowując przyszłych członków Zgromadzenia, przecierpiał początki strasznej rewolucyi. Choć w kraju swym działał wiele dobrego, gorliwość jego rwała go dalej, do nawracania niewiernych. Wszakże dopiero po długich naleganiach uzyskał upragnione pozwolenie na wyjazd do Chin, z początkiem 1791 roku.

W połowie 1792 r. apostołował już w obszernej prowincyi Kieng-si, a w r. 1793 przeniósł się do sąsiedniego Hu-kuang, gdzie miał wśród nieustannych trudów i prześladowań pracować lat 27 i zasłużyć wreszcie na palmę męczeńską. Srogie prześladowania, zwłaszcza w roku 1811, pozbawiły go wielu owieczek, a nawet już i tak nielicznych

współpracowników. Po kilku latach względnego spokoju, znów się zerwała burza w r. 1818. Pojmano mu jednego kapłana i wielu wiernych.

On sam, choć zawsze pragnął korony męczeńskiej i modlił się o nią, nie chciał się zuchwale narażać. Krył się po górach, lasach i jaskiniach w towarzystwie jednego z swoich księży, uszedł nawet do sąsiedniej prowincyi Ho-nan. Ale zdradzony przez odstępcę, ujęty został we wsi King-kio-ken, dnia 16 czerwca 1818 r. Siedmdziesięcioletni starzec, obciążony kajdanami, musiał chodzić od miasta do miasta, z więzienia do więzienia, nieraz po kilkaset mil, wśród niewygód i zniewag. Wreszcie w stolicy Hu-kuangu, Uczang-fu, skazany został na śmierć. A gdy cesarz wyrok zatwierdził, błogosławiony Klet, zawieszony na krzyżu, poniósł śmierć przez uduszenie dnia 18 lutego 1820 roku.

Dziwna światłość bijąca od jego oblicza martwego, świadczyła o chwale, jaką go Pan Bóg wynagrodził w niebie. Bohaterskie cnoty, zwłaszcza cierpliwość jego, wśród mąk i przy śmierci, a nadto liczne cuda, jakimi Bóg stwierdzał jego świętość, skłoniły Stolicę świętą, że go po długich dochodzeniach (od roku 1843) ogłosiła Błogosławionym, dnia 27 maja 1900 roku.

Chrześcijanin i Mahometanin.

Przed 200 laty, dwaj bracia: Robert i Rajmund, potomkowie starożytnej i zamożnej rodziny, przenieśli się na wyspę Maltę. Ojciec ich przeznaczył młodszego syna, Rajmunda, do zgromadzenia Kawalerów Maltańskich, co niezmiernie zgadzało się z usposobieniem młodzieńca.

Dla wyjaśnienia należy dodać, że przy końcu XI-go wieku, europejscy Chrześcijanie, pragnąc odzyskać Palestynę, czyli Ziemię Świętą, gdzie jest miasto Jerozolima, z grobem Zbawiciela, zostającą we władaniu Turków, rozpoczęli z nimi długie wojny, bo blisko 200 lat trwające, znane pod nazwiskiem „wojen krzyżowych“, ponieważ biorący w nich udział, zawieszali na piersiach krzyż z czerwonego sukna.

W XI wieku kupcy włoscy wybudowali w Jerozolimie kościół, klasztor i szpital dla pielęgnowania biednych i chorych pielgrzymów, oraz udzielania im wszystkiej w podróżach opieki i osadzili w nich orężnych ludzi, związanych zakon-

nemi ślubami. Że zaś całe to zgromadzenie przyjęło za patrona świętego Jana, otrzymali przeto zakonnicy nazwę Joannitów.

W czasie wojen krzyżowych, mężnie walczyli z niewiernymi w Palestynie, a po zdobyciu Ziemi Świętej, przenieśli się na wyspę Cypr; następnie w 1309 r. zdobyli wyspę Rodus i zostali nazwani Kawalerami rodyjskimi. Odpierając czas długi napaści Turków, w roku dopiero 1522 utracili wyspę Rodus i wtedy zakon przeniósł się do Sycylii.

W 1530 roku cesarz Karol V. darował im wyspę Maltę, Gozzo i Comino, na morzu Śródziemnem położone, z warunkiem walczenia, z niewiernymi i korsarzami (rozbójnikami morskimi), którzy napadając na statki kupieckie, całemu handlowi w Europie niezmierne wyrządzali szkody.

Zakon więc przeniósł się na owe wyspy i otrzymał nazwę „Kawalerów Maltańskich“, którzy nosili długi czarny płaszcz, z białym ośmiokątnym krzyżem. Zgromadzenie to istniało do końca wieku zeszłego i dopiero w 1797 roku, Napoleon I. Bonaparte zdobył Maltę, a w 1800 Anglicy zajęli wyspy: Maltę, Gozzo i Comino i dotąd je trzymają w swojem posiadaniu. Zakon zaś przeniósł się do Włoch i utracił zupełnie swoje dawne znaczenie.

Ponieważ Robert był bardzo przywiązany do brata i nie mógł z nim się rozłączyć, sprzedał zatem swoje obszerne włości, udał się z bratem na Maltę i tam nabył ładną majętność, ożenił się i w pośród kochanej rodziny, szczęśliwe pędził życie. Tymczasem Rajmund walczył często na morzu z korsarzami, a wróciwszy z wyprawy, opowiadał przebyte niebezpieczeństwa, cieszył się z wywalczonych zwycięstw, przyczem objawiał głośno swą nienawiść dla niewiernych, ślubując wieczną im wojnę.

Wtedy to łagodny i ludzki Robert usiłował go przekonać, że są inne lepsze od miecza środki przeciwko niewiernym, że Chrystus powstał nawet przeciw mieczowi, mówiąc: kto mieczem wojuje, ten od miecza ginie. Przez długie lata żyli bracia szczęśliwie na Malcie, dopóki zakon nie postanowił podjąć wyprawy celem stanowczego zawojowania korsarzy, którzy niedawno przedtem schwytali znaczną liczbę chrześcijańskich statków kupieckich.

Rajmund udał się na tę wyprawę, ale już z niej nie powrócił. Rycerze odnieśli wprawdzie wielkie zwycięstwo, ale ponieśli także znaczne straty i stracili okręt, na którym walczył Rajmund. Świadkowie walki, którym na małem czółnie

udało się ujść szczęśliwie z rąk korsarzy, dowodzili, że okręt został zabrany dopiero wtedy, gdy wszyscy na nim walczący rycerze polegli i że Rajmund znajdował się w tej liczbie.

Robert bardzo opłakiwał stratę ukochanego brata, sądząc, że zginął; ale inaczej się stało. Okropny los spotkał Rajmunda; korsarze zaledwie dostrzegli znak życia w ciężko zranionym rycerzu, starannie zaczęli go leczyć, by go wystawić na sprzedaż na targu niewolników w Algierze. Wspaniała postać Rajmunda zwabiła wielu kupców, cieszono się, że będą mogli dręczyć jako niewolnika strasznego rycerza; ale korsarz naznaczył na jego wykupienie wysoką cenę. Nareszcie zjawił się młody, szlachetnego rodu Turek, nazwiskiem Cid Mulej, starannie obejrzał budowę ciała nieszczęśliwego jeńca, jak się to zwykło czynić przy kupnie bydła sprzężajnego, i zapłacił wymagane pieniądze.

— „Będziesz mi za to pracować, niewolniku! — rzekł — abym nie nadaremnie wydał na ciebie tyle pieniędzy!“

I spełnił swoją groźbę.

Rajmund pozostawiony samowolności dozorców, w okropnem swem położeniu, nie miał nawet nadziei odzyskania kiedyś wolności, bo według ustawy zakonu żaden rycerz nie mógł być przez okup uwolniony. Mężnie jednak z poddaniem się wyrokom Opatrzności, znosił swój los srogi, lecz siły zaczęły go opuszczać.

Pewnego razu w rozpaczy błagał dumnego Turka o zadanie mu śmierci; lecz ten, bojąc się utracić pilnego niewolnika, zrobił go swoim ogrodnikiem i uwolnił od batoga nieludzkich dozorców, i odtąd kazał mu pracować pod bezpośrednim dozorem Muleja. Mulej, gorliwy wyznawca Mahometa, często rozpoczynał rozmowę ze swoimi niewolnikami, zachęcając ich wszelkiemi środkami namowy, lub groźbą do przejścia na religię mahometańską. Niektórzy, za słabi do znoszenia z pobożną ufnością jarzma niewoli ku chwale swej wiary, dali się nakłonić, wyrzekli się swej religii, by pozyskać nędzną wolność i jaki taki dostatek. Rajmund jednak pozostał niewzruszony.

— Jestem rycerzem chrześcijańskim — rzekł i pozostanę nim, lubo niewolnik, aż do śmierci! Odebraliście mi krzyż z piersi, ale z serca mego nie potraficie mi go wyrwać.

Mulej, lubo był rozgniewany taką nieugiętością swego niewolnika, ocenił jednak wzniosłość podobnego sposobu myślenia, a ponieważ Rajmund sumiennie pełnił swoje obowiązki, więc zjednał tem sobie nawet szacunek i życzliwość swego

pana. Tąk upłynęło lat kilka, w ciągu których szlachetny rycerz znosił swój los z poddaniem chrześcijanina.

Pewnego wieczoru Rajmund w odległej części ogrodu polewał piękne kwiaty, milczące powierniki swej boleści. W bliskości znajdował się gęsty gaik figowy, morwowy i pomarańczowy, a w nim piękna altana, ulubione schronienie Muleja. Pełen tęsknoty myślał Rajmund o swej ojczyznie, o ukochanym bracie i jego miłych dzieciach, jeszcze może piękniejszych niż owe kwiaty, nagle doleciał go z altany dziki krzyk, oraz jęk trwożliwy. Szybko przedarł się przez gęstwinę i spostrzegł w altanie leżącego na ziemi Muleja, kilku niewolników trzymało go mocno, podczas gdy jeden renegat, t. j. chrześcijanin, który przeszedł na mahometańską wiarę, klęczał mu na piersiach i usiłował go udusić.

— Wstrzymaj się złoczyńco! — zawołał Rajmund i ciężkim swoim rydlem powalił renegata na ziemię. — Precz ztąd, niegodziwi! — dodał strasznym głosem — chrześcijanin nie powinien okupywać swojej wolności morderstwem.

Z temi słowy wypędził za drzwi przelękłych, nieuzbrojonych morderców, Mulej tymczasem przyszedł do siebie. Widział szlachetny czyn Rajmunda, spostrzegł obok siebie krwią zalanego renegata, słyszał jego rzężenie śmiertelne i łatwo domyślił się reszty. Drżący podniósł się z ziemi i z okrzykiem:

— O szlachetny zbawco mego życia! — rzucił się na piersi swego niewolnika. Lecz ten odrzucił zimno i dumnie wszelkie podziękowanie i wszelką nagrodę.

— W otwartym boju — odrzekł poważnie — chętniebym cię zabił, ale rycerz chrześcijański broni nawet swego nieprzyjaciela od zdrady i zabójstwa.

Szlachetny charakter Rajmunda, wzruszył Muleja do głębi duszy. Zaprowadził go do swego pałacu i przysięgając buntownikom straszliwą zemstę, nalegał na swego zbawcę z rozczulającą serdecznością, żeby pozostał u niego, podzielił z nim wszystko co posiada i został mahometaninem. Pokazał mu wszystkie swoje niezliczone skarby, piękne posiadłości; opisywał mu w najżywszych kolorach czarujące życie, które mu pragnie przygotować, ale Rajmund odpowiedział mu poważnie i łagodnie:

— Z pewnością nie miałbyś dla mnie ani szacunku, ani zaufania, gdybym uczynił zadość twemu żądaniu. Przypomnij sobie tego renegata, którego zabiłem jako twego mordercę, prawie utratą swego życia przekonałeś się, że ten, co zapiera

się tego, co jest najświętszem, nie zasługuje na szacunek i zaufanie.

Gdy zawstydzony i smutny Mulej stał przed nim i zaklinał go, żeby żądał co zechce i przysiągł na proroka wypełnić wszelkie jego żądanie, wtedy dopiero Rajmund błagał o łaskę i wolność dla tych nieszczęśliwych spiskowców, których śmierć męczeńska już była postanowioną. Turek się zawahał, lecz przysiągł na proroka, nie chciał zatem ustąpić swemu niewolnikowi w szlachetności i odpowiedział:

— Dobrze, więc przyjmij życie tych nędzników odemnie jako podarunek; lecz sam nie możesz pozostać moim niewolnikiem. Czego jesteś za dumnym żądać odemnie, to udzielę ci sam dobrowolnie, twoją wolność. Weź sobie z moich skarbów ile zechcesz; wracaj do swoich stron i pamiętaj o wdzięcznym Cid Muleju! Rajmund z radością przyjął ofiarowaną mu wolność, ale gardząc ofiarowanemi skarbami, wziął tylko z sobą suknie niewolnika, jako wspomnienie owych lat smutnych i w towarzystwie ośmiu uwolnionych powrócił do Malty.

Robert tymczasem żyłby szczęśliwie i spokojnie na łonie swej licznej rodziny, gdyby nie wspomnienie o ukochanym bracie, które go nigdy nie opuszczało. Niepodobna opisać radości, gdy mniemany zmarły Rajmund wszedł do domu. Pomimo lat podeszłych, bracia z całym zapałem niezastygłej miłości, rzucili się nawzajem w objęcia; dzieci Roberta, ówczas w kwiecie wieku będące, radośnie witały odzyskanego stryja i wszyscy przelewali łzy radości. Rajmund opowiadał im swoje przygody, a gdy skończył takowe, brat podał mu rękę i rzekł:

— Błogosławieni, co są wierni Panu! Cnota chrześcijańska, skuteczniejsza od miecza.

Matka i dzieci złożyły pobożnie ręce i szczerze dziękowały Bogu. Powrót rycerza sprawił wielkie wrażenie: Owi nieszczęśliwi więźniowie, którym wspaniałomyślność Rajmunda powróciła wolność, opowiedzieli całe zdarzenie i uwielbiali swego zbawcę. Zakon bardzo poważał Rajmunda i wyniósł go wkrótce do godności Wielkiego Komandora (pierwszy stopień po Wielkim Mistrzu).

Walka z niewiernymi wciąż trwała, lecz wysokie stanowisko Rajmunda zatrzymywało go na wyspie. Rozpoczęto nowe uzbrojenia, bo Turcy wyrządzili wielkie szkody Chrześcijanom. Zwycięsko tą razą powrócili rycerze i przyprowadzili z sobą dwa nieprzyjacielskie okręta, z wielu mahomeskimi jeńcami. Dla większej uroczystości polecił Wielki Mistrz,

wśród radosnych okrzyków ludu, prowadzić okutych jeńców przez ulie stolicy, aż na podwórze swego pałacu.

Tam się zebrali wszyscy rycerze, żeby rozstrzygnąć o losie tych nieszczęśliwych. Rajmund stał obok Wielkiego Mistrza i zamyślony wlepiwszy wzrok w jeńców, przypominał sobie chwilę, kiedy i on znajdował się w tem samem położeniu w Algierze. Nagle ujrzał znane sobie rysy, Cid Mulej znajdował się pomiędzy jeńcami. Niegdyś tak dumny, odważny człowiek, obecnie stał zgnębiony pod ciężarem swego losu i nie śmiał oczu podnieść. Rajmund wziął na bok Wielkiego Mistrza i zawołał brata, a ten, po krótkiej naradzie, kupił Cid Maleja od zakonu, za znaczną cenę, jako niewolnika.

— Nie kupuj mnie — rzekł Mulej — nie będziesz mieć ze mnie ani pracowitego, ani posłusznego niewolnika, jestem zbyt znakomitego pochodzenia, bym umiał pracować i ulegać.

— Ale się tego nauczysz — odpowiedział Robert. — My Chrześcijanie posiadamy jeszcze potężniejsze od was środki, do poskromienia naszych niewolników.

Gdy przyprowadzono Turka do mieszkania Roberta, pomieszczono go w wygodnym pokoju, zdjęto z niego okowy, starano się pokrzepić go pokarmem, opatrzyć jego rany, otrzymane w walce morskiej, a małe wnuki Roberta przyniosły Mulejowi kwiatów i owoców. Po kilku dniach, pewnego poranku wszedł Robert do pokoju swego niewolnika.

— Już odzyskałeś siły — rzekł do niego — twoje rany już się zagoiły, więc chodź ze mną, pójdziemy do roboty.

Milcząc usłuchał Mulej rozkazu. Robert zaprowadził go do swoich prześlicznych plantacyj, gdzie pracowało bardzo wielu robotników, lecz tam nie znajdował się żaden niewolnik okuty w kajdany, żaden nieludzki dozorca nie wywijał batogiem.

— Czy nie zechcesz mi dopomódz przywiązywać te gałązki winorośli i zrywać dojrzałe winogrona? — zapytał Robert uprzejmie Muleja. Turek szybko przystąpił, jakby nie mogąc odmówić pomocy tak uprzejmie proszonej i pilnie pracował z Robertem. Gdy się przybliżyło skwarne południe, zaprowadził go Robert do jego pokoju, przysłał mu posilne potrawy i pozwolił mu przez kilka godzin odpocząć, potem zaprowadził go znowu do roboty i tak potrafił go zatrudnić i utrzymać w dobrowolnej czynności aż do wieczora.

— Sumiennie pomagałeś mi dzisiaj w mojej pracy, za to podzielisz ze mną i mój odpoczynek — rzekł Robert i za-

prowadził Muleja do obszernej, cienistej altany, zkąd był piękny widok na otwarte morze. Tutaj zasiadłszy na ławce, gdy przypatrywali się pięknemu widokowi zachodzącego słońca, Robert zapytał się swego niewolnika, jakim sposobem on tak znakomitego rodu człowiek, został jeńcem? Mulej bez ociągania się, z głębokim smutkiem odpowiedział: że pojechał na morze ścigać kilkunastu zbiegłych chrześcijańskich niewolników, a gdy już ich prawie chwytał, wpadł w ręce nieprzyjaznych rycerzy.

Przybycie córek i synowych Roberta z ich dziećmi, przerwało dalszą rozmowę; wiedziały, że dziadek lubi z tej altany przypatrywać się zachodowi słońca i pospieszyły do niego. Cid Mulej nie mógł oderwać wzroku od obrazu domowego szczęścia, jaki przedstawił rzeźwy starzec, z siwym jak srebro włosem i brodą, otoczony swą rodziną. Nieznane uczucia odezwały się w jego sercu i pogrążony w marzeniu udał się za rodziną do mieszkania, gdzie uprzejma babunia przygotowała wieczerzę. Mulej stał mocno wzruszony, starzec wśród pobożnego kółka swej rodziny i domowników, odmówił wieczorną modlitwę i z nigdy dotąd niedoznanym wewnętrznym spokojem udał się na spoczynek.

Tak upłynęły i dni następne, pełne szczęścia rodzinnego. Robert unikał wszelkiego pozoru do nawrócenia mahometanina, bo on powinien był wprzód poznać szczytne zasady religii chrześcijańskiej, uczuć szczęście, jakie ona daje swym wyznawcom i w gorącem pragnieniu takowego, przygotować się do przyjęcia Chrztu świętego.

Tę drogę wskazał stary, pobożny komandor Rajmund swemu bratu, często przychodził dowiadywać się o skutku, lecz nigdy nie pokazywał się Mulejowi. Zwolna niknął smutek ostatniego, tęsknota do ujrzenia stron rodzinnych ustąpiła miejsca miłości do rodziny Roberta; chętnie słuchał opowiadania Roberta o cnocie, religii i powołaniu człowieka. Zwolna oczy mu się otworzyły i promienie wiary chrześcijańskiej zaczęły rozjaśniać i rozgrzewać jego serce.

Pewnego razu podsłuchał Robert rozmowę Muleja, siedzącego w altanie pomiędzy dziećmi, gdy jedna z dziewczynek pokazała mu skromny krzyżyk z hebanowego drzewa, który dnia tego, jako w dzień swych urodzin, otrzymała od babki w podarunku.

— Ale ty biedny człowieku — rzekło dziecko — zapewne nie znasz Zbawiciela, który tutaj jest przybity do krzyża? opowiem ci o Nim cokolwiek.

Mulej wzruszony słuchał chętnie i uważnie nieznanego sobie opowiadania, które z ust dziecięcych wydało mu się więcej zajmującem i pocieszającem.

— A teraz przypatrz się dobrze ukochanemu, ukrzyżowanemu Zbawicielowi! — dodało dziecko, — jak nawet śmierć nie mogła zmienić jego anielskiego oblicza. Ach! odkąd nas tak pokochałeś, myślę ciągle, że już zostałeś Chrześcijaninem, bo Jezus mówi: Potem poznaję, że jesteście moimi uczniami, jeżeli miłować się będziecie wzajemnie!

— A przedewszystkiem On kochał dzieci — dodał chłopczyk, — nawet rzekł raz do swoich uczniów: Pozwólcie dziatkom przyjść do mnie i nie zabraniajcie im, bo ich jest Królestwo Niebieskie!

— Tak — zawołał Mulej, wzruszony do głębi duszy tą dziecinną prostotą — w waszem sercu mieszka pokój Boży! O ty wielki mężu! dozwól niech on wstąpi i do mego serca:

Z temi słowy pochwycił krzyżyk, który ma dziecko podało i ze łzami przycisnął usta do niego. Wtedy przystąpił do niego Robert i jakby wcale nie słysząc powyższej rozmowy, rzekł:

— Już rok jesteś tutaj, chciałem ci pokazać, jak my, według przepisów naszej religii, obchodzimy się z naszymi nieprzyjaciółmi! Widziałeś życie i postępowanie chrześcijańskiej rodziny, teraz jesteś wolny, jeżeli ci się podoba, możesz powrócić do swoich miejsc rodzinnych!

Mulej milczał wzruszony i wlepił oczy w krzyż, który trzymał w ręku; dzieci zawiesiły się u jego szyi i zawołały:

— Nie! ty nas nie opuścisz, ty pozostaniesz z nami, bo tam pewno nikt cię tak jak my nie kocha!

Tu Mulej rzucił się w objęcia starca i zawołał:

— Zatrzymajcie mnie u siebie! Nie wypędzajcie mnie znowu w świat pusty i nieczuły! Zostanę jak i wy Chrześcijaninem.

W tej chwili ukazał się stary komandor Rajmund.

— Muleju! — zawołał, wyciągając ku niemu ramiona.

Mulej poznał go, długo pozostawali w milczącym uścisku, tylko ich serca biły gwałtownie.

— Ty jesteś moim aniołem opiekuńczym — rzekł Mulej, — niegdyś uratowałeś mi życie, a teraz duszę.

Pobożny Komandor potrząsł łagodnie głową i odpowiedział:

— Nie ja; Bóg wspiera słabych, a Chrystus jest jedyną drogą prawdy, życia i zbawienia! *K. H.*

Jeszcze kilka słów o cudownym obrazie Pana Jezusa z góry Alwernijskiej.

(List do Redakcyi.)

Przewielebny Księże Redaktorze! Serdecznie dziękuję za przysłanie mi *Skarbnicy*, gdyż to pisemko ma wielką dla mnie wartość, co opiszę w krótkości.

Czytając w styczniowym numerze *Skarbnicy* opis klasztoru i cudownego obrazu Pana Jezusa w Alwernii, gdym przeczytał przy końcu artykułu te słowa: „w Imię tego cudownego Pana Jezusa proszę Cię Czytelniku *Skarbnicy* o małą ofiarę na dokończenie wieży“ — tak mi to słowo utkwiło w sercu, żem się mu oprzeć nie mógł, chociaż czytałem kilka innych odezw w tej sprawie. Tamte wszystkie odezwy były grochem o ścianę rzucanym.

Słowa w *Skarbnicy* wzruszyły mnie, tylko nie wiedziałem, jak się wziąść do tego, więc na początek posłałem ofiarę do Alwernii i prosiłem księdza Gwardyana Podworskiego, o przysłanie mi 10 obrazów cudownego Pana Jezusa. Myślę sobie: chociaż tyle będę mógł zebrać ofiar — i dzięki Bogu nie na tem był koniec, bom wnet sprowadził 220 dużych obrazów i 210 małych obrazów, za które ludzie składali po 10 centów.

Prawda, nie chwalę się, żebym to sam tyle ofiar zebrał, bom ja tylko obrazy sprowadzał, a miałem zaś pomocników, którzy ludzi do tego zachęcali i obrazy roznosili, a ja odsyłałem pieniądze do Alwernii i jeszcze dotychczas zbieram ofiary i odsyłam.

Dostało mi się za to tyle, żem został nazwany cyganem i oszustem od ciemnego narodu, chociaż mam recepisy na wszystkie pieniądze, które odesłałem. Ale tak widać musi być na tym świecie, trzeba cierpieć dla sprawiedliwości.

Dotychczas złożyły ofiary: parafia Brzezie 48 złr. 50 ct., — klasztor staniątecki od służących dziewcząt 18 złr. 60 ct., — parafia Biskupice 4 złr. 50 ct., — parafia Budzanów 19 złr. 70 ct., — gmina Chość 12 złr., — parafia Grabie 4 złr., — parafia Zabierzów koło Niepołomic 23 złr. 20 ct., — parafia Niepołomice 124 złr., — z Królestwa Polskiego pewna pani, która ma córkę w klasztorze staniąteckim,

złożyła za małe obrazki 18 rubli w złocie, więc dotychczas złożyli 250 złr. i 18 rubli.

Prawda, że jeszcze tych wszystkich pieniędzy nie odesłałem, bo jeszcze mam po ludziach, ale przy pomocy Bożej pozbieram je, bo po największej części biorą obrazy ludzie biedni, a bogatsi biorą mało. Oby im tylko kiedyś nie było tak trudno do nieba się dostać, jak teraz trudno im dać małą ofiarę.

Łaskawi Czytelnicy! Gdy to czytać będziecie w *Skarbnicy*, to proszę Was w imię tego Cudownego Pana Jezusa Alwernijskiego, posyłajcie dalej ofiary do Alwernii. Wszak może czytaliście w gazetkach: w *Prawdzie* i w *Nowym Dzwonku*, że pozostaje jeszcze trzy tysiące reńskich długu, na opłacenie reszty kosztów zbudowanej już wieży i będących w niej dzwonów.

Tyle naszego drodzy Czytelnicy, co sobie tam naprzód poszlemy, bo te ofiary dużo nas będą broniły przed Sędzią Boskim. Wszak Chrystus Pan powiedział, że kubek zimnej wody nie będzie bez nagrody, dany ubogiemu w imię Jego, a cóż dopiero mówić o ofierze danej samemu Panu Jezusowi? Wszak Pan Jezus w Alwernii wielce jest cudowny, opowiem tu o dwóch wypadkach, które się zdarzyły blisko Staniątek. W parafii Brzezie wybuchł pożar i przy wietrze zaczął się szerzyć niebezpiecznie. Na parę kroków blisko był dom, który wszyscy uważali już za stracony. Dopiero kobieta, która miała ten cudowny obraz Pana Jezusa z Alwernii, pochwyciła go i woła z płaczem: „O cudowny Jezu, jakeś uratował króla Ferdynanda od śmierci na wojnie, tak ratuj i nas od ognia“. I w tej chwili wiatr zawrócił w inną stronę ogniem, a dom ocalał.

Drugie zdarzenie jest takie:

Pewien gospodarz z parafii Bodzanowskiej był dość nabożny, bom go często i w powszedni dzień w kościele widział i do spowiedzi św. często chodził. Ale miał tę wadę, że się często lubiał napić, a jak wiadomo, pijaństwo ciągnie zawsze do złego i do zbrodni.

Otóż ten gospodarz miał w domu u siebie synową. Działo się to w przeszłym roku i ta synowa ciężko zachorowała. Był tam na to szczęście organista z parafii Bodzanów i spostrzegł, że owa kobieta leży ciężko chora w jednej stancyi, a w drugiej w jak najlepsze piją.

Poszedł więc zaraz i opowiedział to księdzu Dziekanowi, a ksiądz Dziekan jako dbały o swoje owieczki, wziął Pana

Jezusa i Oleje święte, kazał zaprzągnąć konie i jedzie do chorej.

Przyjeżdża pod ów dom, a gospodarz wychodzi i woła: a czy ja to nie mam koni, żeby Jegomość swoimi końmi przyjeżdżał! — i chciał wóz z księdzem wywrócić, ledwie go od tego ludzie wstrzymali.

Tego roku w Poście kupił sobie odemnie ów gospodarz obraz Cudownego Pana Jezusa Alwernijskiego. Może za jaki kwartał pewnego dnia wstał rano zdrów, lecz za chwilę zrobiło mu się źle. Woła księdza, ale niestety w tej chwili umiera, zanim ksiądz przyjechał.

Na pogrzebie miał ksiądz przemowę tak, że naród jęczał i niejeden zaczął wątpić o zbawieniu. W tem śni się jednej osobie, aby ludzie nie wątpili o jego zbawieniu, bo jest na dobrej drodze, gdyż Pan Jezus Alwernijski zachował go od potępienia.

Na tem kończę mój list i proszę księdza Redaktora o wydrukowanie go w *Skarbnicy* — a jak było w pierwszym numerze ogłoszenie i prośba o ofiary dla kościoła w Alwernii, tak niech w tym numerze będzie podziękowanie wszystkim biedakom-ofiarodawcom i moim pomocnikom.

Niech Ci to drogi Księże Redaktorze Pan Jezus Cudowny wynagrodzi stokrotnie, żeś nam dał sposób przez *Skarbnicę* do dobrego uczynku.

Karol Powroźniak
w Staniątkach.

W Krakowie, czcionkami drukarni Związkowej, pod zarządem A. Szyjewskiego.